PARTYZANT z CZERWONEGO RYPINA

Wiatr zdawał się układać do s Świerki przestały chylić swe wier chołki. W lesie stawało się coraz ciszej, tylko z płonących gałęzi wystrzeliwały z trzaskiem wesołe iskierki. Stary Aran, wtuliwszy wielki łeb między przednie łapy, od czasu do czasu otwierał czerwone od płomieni ślepia, jakby chciał upewnić się czy siedzimy obok. Obciągaliśmy coraz szczelniej skafandry, jesienny chłód dawał się we znaki.

Czekałem aż pan Zbigniew Grabowski zacznie swą opowieść o wydarzeniach, które rozegrały się równo 30 lat temu. Tu, w tym samym miejscu, gdzie obecnie siedzimy. Przy kolejowym torze łączącym Rypin z Sierpcem...

„DRUHU WYWIADOWCO"...

Rypińskie lasy znam doskonale. Przed wojną należałem do harcerstwa, a mój zastęp podczas każdych wakacji przyjeżdżał

C. d. na str. 7

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 79 (2175) 3 października 1972 r. Cena 50 gr

Szkoła dla sześciu uczniów

● Maleńka wioska Seignes, leżąca w Alpach na granicy francusko-szwajcarskiej posiada najmniejszą zapewne szkołę we Francji: w pięciu klasach uczy się sześciu uczniów.

Położenie wioski uniemożliwia uczniom uczęszczanie do szkół w innych miejscowościach. Najbliższa, co prawda, znajduje się w odległości tylko 5 km, lecz w ciągu kilku miesięcy w roku droga do niej jest praktycznie nie do przebycia. (jk)

Wilk w roli psa

● W jednej z placówek służby pogranicznej na Dalekim Wschodzie funkcję psa-tropiciela pełni wyszkolony przez radzieckich wopistów wilk Bars, którego jako małego wilczka znaleźli żołnierze. Bars bardzo łatwo nauczył się wykonywania rozkazów i tropienia. Jedyną trudność stanowiło odzwyczajenie go od polowawania na owce. (jk)

Spodnie strojem barbarzyńców

● Zgodnie z zapiskami kronikarzy z III, II, i I wieku przed naszą erą, a także z pierwszych wieków naszej ery, ludy środkowej i północnej Europy znały już spodnie i używały tej formy odzieży ze skór, futer i tkanin. Natomiast Grecy i Rzymianie aż do III wieku naszej ery wzbraniali się przed przyjęciem spodni jako stroju „barbarzyńskiego". (jk)

Samolot do łaźni

● W ZSRR zbudowano specjalną myjnię do oczyszczania zewnętrznych powierzchni samolotów naddźwiękowych typu — „Tu-144". Pierwsza kąpiel samolotu-giganta wykazała, że dzięki mniejszemu tarciu zaoszczędzono na trasie Moskwa—Nowy Jork 2,5 tysiąca litrów paliwa.

Pod żaglami ZAWISZY

Jadąc do Gdyni i nawet już będąc na kei, przy której cumował „Zawisza Czarny", wyobrażałam sobie, że od pierwszej chwili zaokrętowania się poznam smak sportowego żeglarskiego życia, że czekają mnie emocje ścigania się na morzu „dziób w dziób" z jachtami, których załogi, jak i nasza, zechcą zwyciężyć... Tymczasem... Ledwo zaniosłam walizy do kabiny — trzeba wracać na pokład, ale nie do żagli...

— Zetrzesz z pokładu ślady rdzy. Bosmanek wyda ścierny papier! — osobnik o czarnych przenikliwych oczach i gęstej zmierzwionej brodzie polecenie to kieruje do mnie. Nie wiem: kapitan to, pierwszy oficer czy może sam bosman. Na wszelki wypadek prężę się na baczność.

C. d. na str. 4–5

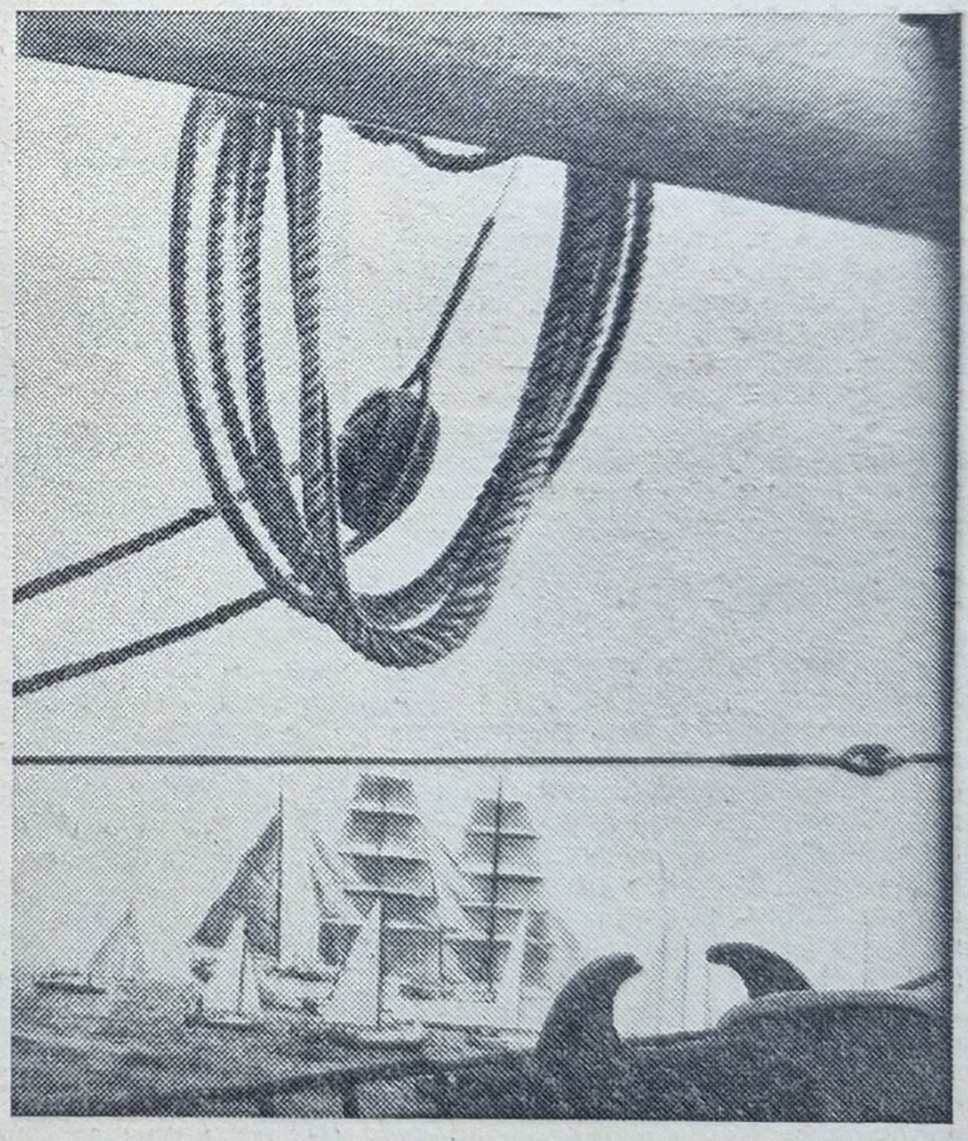

Żubry z Pszczyny

Żubry wiążą się w świecie z Polską, a w Polsce z Puszczą Białowieską. Tymczasem okazuje się, że bardzo dużo żubrów żyje w lasach pszczyńskich. Właśnie z tych lasów żubry można spotkać w wielu krajach świata, gdzie stanowią ozdobę rezerwatów przyrody i ogrodów zoologicznych.

W okresie powojennym w pszczyńskim ośrodku hodowlanym przyszło na świat ponad 150 żubrów, z czego około 100 sprzedano m.in. do Hamburga, Bremy, Paryża, Londynu, Filadelfii i Sydney.

Obecnie w pszczyńskim rezerwacie znajduje się ponad 30 żubrów, a jego dumą jest 9-letni „Pluton" ważący ponad 1600 kg .(jk)

Uwaga — Samorządy klasowe

Uwaga — Teatrzyki Szkolne

W następnym numerze zamieścimy repertuar — zabawne widowisko do wystawienia w Dniu Nauczyciela. A więc już za trzy dni:

Komputer i koń!

DROGA PIŁKARZY NA SZCZYT OLIMPU

W STAREJ ZAGORZE UWIERZYŁEM W MEDAL

Trener Kazimierz Górski — współtwórca monachijskiego sukcesu.
Foto: M. Świderski

Dla polskich piłkarzy występ w Monachium był piątym startem olimpijskim, piątym egzaminem. Tym razem zdanym na celująco. Złoty medal, detronizacja wielokrotnych mistrzów olimpijskich — Węgrów, pokonanie groźnych jedenastek NRD, ZSRR... i wreszcie styl, w jakim owe trofeum zostało wywalczone, zaskoczyły świat. Nic więc dziwnego, że z takim wzruszeniem słuchaliśmy Mazurka Dąbrowskiego rozlegającego się 10 września na głównym stadionie w Monachium. Jest to największy sukces w historii polskiego piłkarstwa. Sukces, który nie przyszedł łatwo...

Znowu Bułgarzy

Aby zakwalifikować się do turnieju olimpijskiego Polacy musieli zająć pierwsze miejsce w swojej grupie eliminacyjnej. Zespół hiszpański nie był groźny. Ale Bułgarzy stanowili trudną przeszkodę do pokonania. Trzy lata temu podopieczni trenera Spasowa wyeliminowali biało-czerwonych z udziału w mistrzostwach świata. Bonew, Żekow, Jordanow, Żeczew — to zawodnicy wielkiego formatu. Jednak Polacy do Starej Zagory wyjeżdżali z myślą o zwycięstwie. Plan taktyczny trenera Kazimierza Górskiego stawiał na otwartą grę, na atak.

Przypomnijmy...

Pierwsza połowa spotkania toczy się pod dyktando kolektywu Lubańskiego. Nie speszeni ogromnym dopingiem bułgarskiej widowni, biało-czerwoni grają jak z nut. Słynny Jordanow wielokrotnie zmuszony jest do maksymalnej interwencji. Jednak po kolejnym strzale Lubańskiego, bramkarz gospodarzy jest bezradny. 1:0 dla Polski!

Po przerwie Bułgarzy ruszają do desperackiego ataku. Nasi umiejętnie zwalniają grę, wybijają z rytmu rozpędzonych przeciwników. I wtedy stało się to najgorsze; błędy rumuńskiego sędziego Padueranu: wykluczenie z boiska Lubańskiego i podyktowanie rzutu karnego. Te mylne decyzje wprowadzają w szeregach polskiej drużyny konsternację i zdenerwowanie. W konsekwencji tego przegrywamy całe spotkanie 3:1.

Tydzień po meczu rozmawiam z Zygfrydem Szołtysikiem:

— Widzisz, przegraliśmy. No i co? Do Monachium i tak pojedziemy, a Bułgarzy... — śmiejąc się pokazał figę. — Czy wiesz, że ja w Starej Zagorze uwierzyłem w olimpijski medal? W meczu rewanżowym pokonamy Bułgarów w wyższym stosunku.

Spełniła się część przepowiedni „Zygi". Po pięknej grze w Warszawie wygraliśmy 3:0. Nasz sukces przypieczętowali ambitni Hiszpanie: w Burgos zremisowali z drużyną Spasowa. Tym sposobem Polska znalazła się wśród 16 zespołów, które stanęły w olimpijskie szranki.

Złota gra

Obserwowaliście mecze polskiej drużyny podczas olimpijskiego turnieju. Tabela obok przypomina jeszcze raz wszystkie wyniki biało-czerwonych. Przypadków nie było. Warto jednak wrócić do ostatniego finałowego meczu z Węgrami.

Po niesamowicie morderczym spotkaniu z drużyną radziecką nasz zespół wybiegł na główny stadion w Monachium z jeszcze większą wolą zwycięstwa. Nieustępliwa gra do ostatnich sekund była jej dowodem. Niezrażeni pechowo straconą bramką Polacy raz po raz atakowali „świątynię" Geczi. Przewaga naszego zespołu była wyraźna. Nie było straconych piłek. Węgrzy zaskoczeni świetną postawą Polaków całkowicie oddali im inicjatywę. Zwycięstwo 2:1, jest zasłużone, a stosunek bramkowy mógł być jeszcze korzystniejszy, bo:

- Biało-czerwoni egzekwowali 13 rzutów rożnych; ich rywale — 8.
- Nasi piłkarze oddali 11 strzałów w światło bramki; Węgrzy — 6.
- Hubert Kostka interweniował podczas całego spotkania 17 razy; Istvan Geczi — 20 razy.

I druga część przepowiedni „Zygi" się spełniła. Ale czy w Starej Zagorze Zygfryd Szołtysik myślał o „złocie"?

Mówią bohaterowie

Po przylocie drużyny z Monachium „Świat Młodych" spotyka się z autorami olimpijskiego sukcesu. Wszystkim rozmówcom zadajemy dwa pytania: Jaki mecz utkwił najbardziej w pamięci? W czym tkwi źródło sukcesu?

Kazimierz Deyna — król strzelców olimpijskiego turnieju:

— Spotkanie z Węgrami było dla mnie najbardziej denerwujące i zarazem najszczęśliwsze. Ja byłem współautorem pierwszej bramki strzelonej przez... Węgrów. Dobrze się stało, że udało mi się zrewanżować naszym przeciwnikom i strzelić dwa zwycięskie gole. Zdobycie złotego medalu poprzedzone było doskonałą grą całego zespołu, mądrą taktyką trenera Kazimierza Górskiego i ciężką wieloletnią pracą. Uważam, że ten sukces nie jest ostatni. Za dwa lata mistrzostwa świata, za cztery następna olimpiada...

Włodzimierz Lubański — kapitan „złotej jedenastki":

— Dla mnie najcięższym meczem było spotkanie z drużyną ZSRR. Doskonali piłkarze radzieccy atakowali non stop. Szczęście jednak nas nie opuszczało. „Maraton" olimpijski wymagał ogromnego wysiłku. Moi koledzy potrafili umiejętnie rozłożyć swoje siły. Na finiszu nie było widać po nich trudów poprzednich meczów. Odporność fizyczna i psychiczna, poparta umiejętnościami musiały zaprocentować.

Kazimierz Górski — trener polskiego zespołu:

— Niezwykle niewygodną wydawała mi się ławka podczas finałowego spotkania. Do dziś trudno mi uwierzyć w ten sukces. O takiej chwili marzyłem od dawna. Moi chłopcy zagrali niezwykle ambitnie. Ten czynnik w walce sportowej jest bardzo potrzebny. Olimpijski sukces zobowiązuje; jestem przekonany, iż drużyna udowodni w przyszłości, że „złoto" dostało się w godne ręce.

*

Trener Górski podkreśla ambicję polskich piłkarzy. Lubański na plan pierwszy wysuwa odporność fizyczną i psychiczną, Deyna — taktykę. Ale wszyscy oni doskonale wiedzą, że tylko połączenie tych elementów w całość jest wykładnikiem wartości zespołu.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI

Bywało i tak; obrońca kolumbijski ratuje swoją bramkę chwytając Lubańskiego za nogi.
Foto: M. Szymkowski

WALKA O ZŁOTY MEDAL

ELIMINACJE

Hiszpania (Gijon)	— 2:0
Bułgaria (Stara Zagora)	— 1:3
Hiszpania (Szczecin)	— 2:0
Bułgaria (Warszawa)	— 3:0

PÓŁFINAŁY:

Kolumbia	— 5:1
Ghana	— 4:0
NRD	— 2:1

FINAŁY:

Dania	— 1:1
ZSRR	— 2:1
Marokko	— 5:0
Węgry	— 2:1

CZY WARTO SIĘ ANGAŻOWAĆ?

DYSKUSJA na temat zaangażowania zatacza coraz szersze kręgi. Krzyżują się poglądy i argumenty. Przeczytajcie co piszą dzisiaj: EWA z Trzcianki, BAŚKA z Sosnowca i inni.

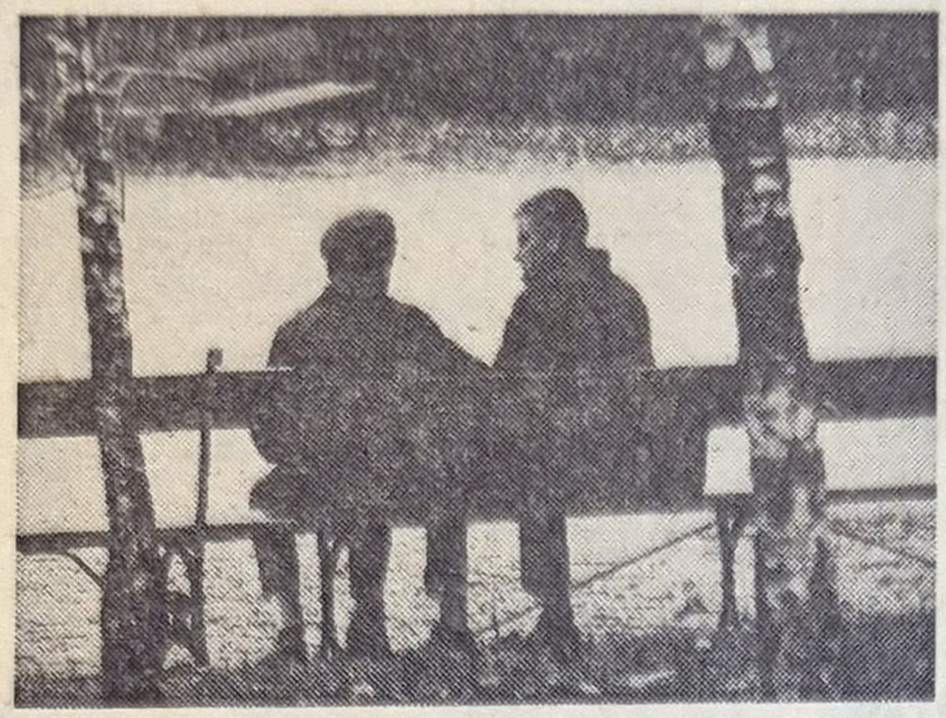

CZASEM WARTO DAĆ SIĘ PRZEKONAĆ

● Problem Anki jest powszechny wśród młodzieży. Myślę, że dobrze, iż ma własne zdanie, ale bronienie go do upadłego jest absurdalne. Zawsze przecież obok może znajdować się ktoś, kto będzie miał na daną sprawę słuszniejszy pogląd. Nie wolno się upierać, czasem warto dać się przekonać. Uważam więc, że Anka ma swoje wady i zalety jak każdy z nas. Jej zaangażowanie zależy wyłącznie od niej samej. Jeśli to robi z wewnętrznej potrzeby to brawo! Ale jeśli na pokaz, to cała jej praca jest nic nie warta.

Ewa K. z Trzcianki

W SPRAWY BŁAHE NIE WARTO

● Problem, który staracie się rozwiązać jest nie tylko sprawą nurtującą młodzież. Jestem nauczycielem i sprawy te są mi bardzo bliskie. Stanowczo nie zgadzam się z Krzysztofem, że „Anka ma pewne względy u nauczycieli". Spróbuj może wyjaśnić, o jakie względy ci chodzi, bo nie wyobrażam sobie, abym miał wpisać Ance lepszą ocenę do dziennika, za to że zrobiła porządek w bibliotece. Zresztą ona na to by się nie zgodziła. Absolutnie nie mogę się też zgodzić z Pawłem. Zbieranie znaczków jest zbyt proste, by wymagało aż takiego zaangażowania. Mylisz pojęcia, to, co ty nazywasz „pieniactwem" wymaga poświęcenia, cierpliwości i kosztuje dużo wyrzeczeń, czasu i nerwów. To właśnie jest zaangażowanie w jakąś sprawę i doprowadzenie jej do końca. Trzeba tylko wiedzieć w co się angażować, w sprawy błahe nie warto. Samo zaangażowanie nie musi dawać korzyści ani satysfakcji. Często racja zostaje przyznana bardzo późno. Nikt chyba nie powie, że np. Waryńskiemu opłaciło się angażować w sprawy walki robotników o swe prawa, ale ta walka opłaciła się nam. Może i nasze zaangażowanie przyniesie komuś korzyść?

Janusz P.
— Siemianowice Śl.

BYŁAM ASPOŁECZNYM TYPEM

● Ogromnie zainteresowała mnie dyskusja w Klubie Nastolatków „Czy warto się angażować?" Odpowiadam od razu — warto! Co za to mamy? Ogromną satysfakcję, że zrobiło się coś potrzebnego, uznanie kolegów, nauczycieli. Ja kiedyś byłam bardzo nieaktywna. Wśród nauczycieli miałam opinię „aspołecznego typa", a teraz pod wpływem przyjaciółki całkowicie się zmieniłam. I dopiero teraz odczułam co straciłam przez „6 lat snu". Ogromnie oburzył mnie list Teresy. Czy rzeczywiście okłamując rodziców ma spokój? Chyba nie. Jeśli dyskutuje się z kimś kto ma odmienne zdanie wcale nie robi się sobie wrogów. Czy przed każdym krokiem trzeba się zastanawiać, czy nam się to opłaci? Jeżeli każdy z nas będzie krzątał się wciąż wokół siebie i nie będzie się nigdy i nigdzie angażował, a tylko pytał, czy mi się to opłaci, to jak będzie wyglądał świat?

Zaangażowana Baśka
z Sosnowca

NIE WYJEŻDŻAJ Z WŁASNYM ZDANIEM

● Droga Anko nie bądź frajerką. Co się przejmujesz. Jak inni nie ruszają palcem, to co się za nich poświęcasz. A do „gogów" to z prawdą za bardzo nie wyjeżdżaj, bo ci to na dobre nie wyjdzie. Raczej nie wdawaj się z nimi w szersze dyskusje. Co gadają to przytakuj, chociażby nie mieli racji. Z rodzicami tak samo, a swoje rób. Zapamiętaj, angażować się można ale nie za bardzo. Niech każdy robi po trochu. Własne zdanie też można mieć, ale nie broń go do upadłego. Co „gogowie" albo starzy mówią przytakuj, nie sprzeczaj się, oni zawsze mają więcej argumentów. Twoja siostra klawo postępuje. Nie jest frajerką. Ale nie trać nadziei, mimo wszystko podobasz mi się trochę. Tylko koniecznie ucz się dobrze. Gdy będziesz mieć dobre stopnie, to już na pewno wyrośniesz na człowieka.

Beata B.

MOJA CZĄSTKA W CAŁOŚCI

● Tereso, nie masz racji. To po prostu oszustwo i nic więcej. Takie wygodnictwo oparte na kłamstwie zemści się kiedyś, bo kłamstwo może się wydać i stracisz zaufanie rodziców. A odbudowanie straconego zaufania jest rzeczą prawie niewykonalną. Z tobą, Krzysztofie też się nie zgadzam. Angażować się po to, żeby zdobyć poklask nauczycieli to karierowiczowstwo. Pracuje się społecznie, jak to pisał Jurek, po to, by zmienić to, co jest złe lub niedoskonałe na lepsze. Gdy widzę w swojej szkole ciekawą gazetkę, ładną dekorację dobrą zabawę, to czuję się zadowolona. Zadowolona z siebie, bo wiem, że jest tam cząstka mej pracy. Angażujcie się Krzysztofie i Janko dla własnego zadowolenie, a nie dla widzimisię tych aspołecznych i wygodnickich. Takie życie dla własnego spokoju i dobrobytu to nie jest cecha człowieka postępowego. Dlaczego Dean Reed mimo wydalenia z USA i Włoch uparcie broni swego słusznego zdania? Dlaczego miliony ludzi opowiedziały się za uwolnieniem Angeli Davis? Bo potrafią się angażować w słuszne sprawy, a nie czekać aż ktoś to zrobi za nich.

„Mada"

Piszcie do nas, sprawa jest ważna, wspólnie łatwiej będzie zdecydować, co jest słuszne:

● Angażować się czy nie?

● Działać wspólnie czy w pojedynkę?

● Poświęcać się bez reszty, czy tylko trochę? Nie zapomnijcie napisać na kopercie tytułu dyskusji: „CZY WARTO SIĘ ANGAŻOWAĆ"?

Oprac. H. CUDOWSKA
Foto: K. Adamowski

MINIKARY na start!

Już za pięć dni staną na starcie pierwszych Ogólnopolskich Zawodów Minikarów nasi czytelnicy, którzy samodzielnie zbudowali swoje mini-pojazdy. W Warszawie dobiegają końca przygotowania na ich przyjęcie. Tydzień temu informowaliśmy w „Świecie Młodych" jak przebiegać będą zawody. Dokładny ich regulamin, program dwudniowego pobytu w Warszawie oraz specjalne zaproszenia wysłaliśmy do uczestników zawodów pocztą.

Minikary wciągane będą pod górę przez motocykle.
Foto: J. Kasprzak

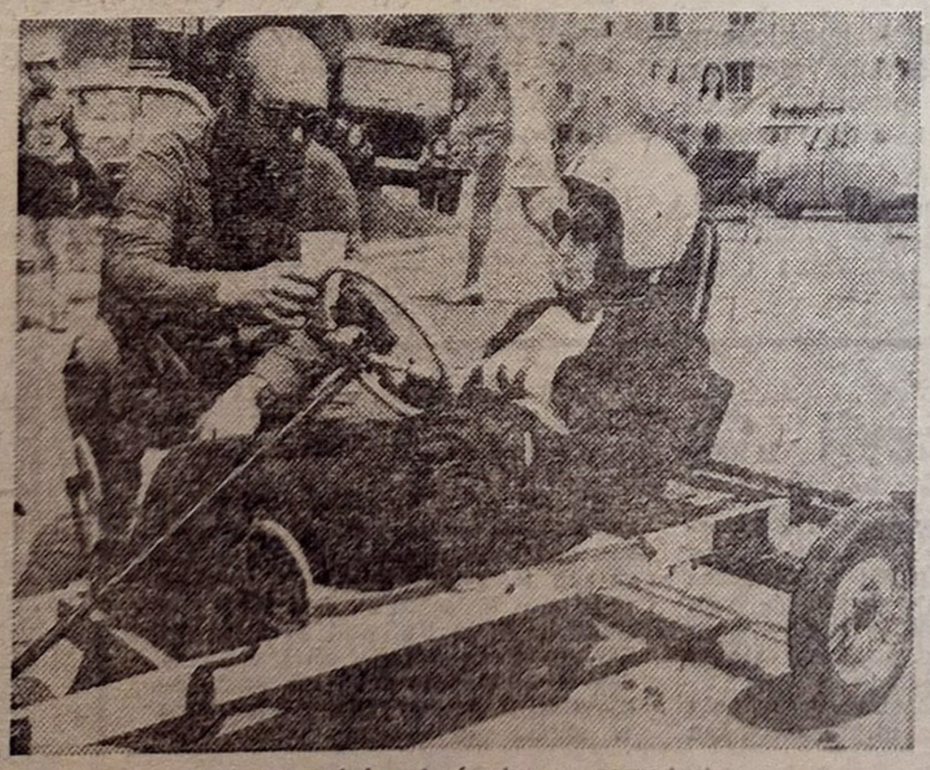

Tak powinien być ubrany zawodnik.

Dziś jeszcze raz przypominamy:

● Sprawdźcie dokładnie stan techniczny swoich pojazdów — czy bezbłędnie działają układy kierownicze i hamulcowe.

● Każdy minikar musi być zaopatrzony w mocny zaczep do liny holowniczej w celu wciągnięcia pojazdu motocyklem pod górę, na miejsce startu. Zaczep musi być zamocowany do przodu podwozia, ale w żadnym wypadku nie na mechanizmie kierowniczym.

● Zawodnik musi startować w kasku ochronnym, w okularach (goglach), w rękawicach i dość ściśle przylegającym ubiorze z długimi rękawami (może być dres, kombinezon itp). Na nogach powinien mieć mocne obuwie chroniące kostkę.

Do zobaczenia w Warszawie.

Proporczyki I Ogólnopolskich Zawodów Minikarów są już gotowe. Otrzymają je na pamiątkę wszyscy uczestnicy zawodów.

Bukszpryt — to właśnie rodzaj pochyłego masztu, wystającego ukośnie do góry, przed dziób żaglowca. Służy on do rozpinania lin i żagli. Wyobraźcie sobie taką pracę w czasie sztormu.

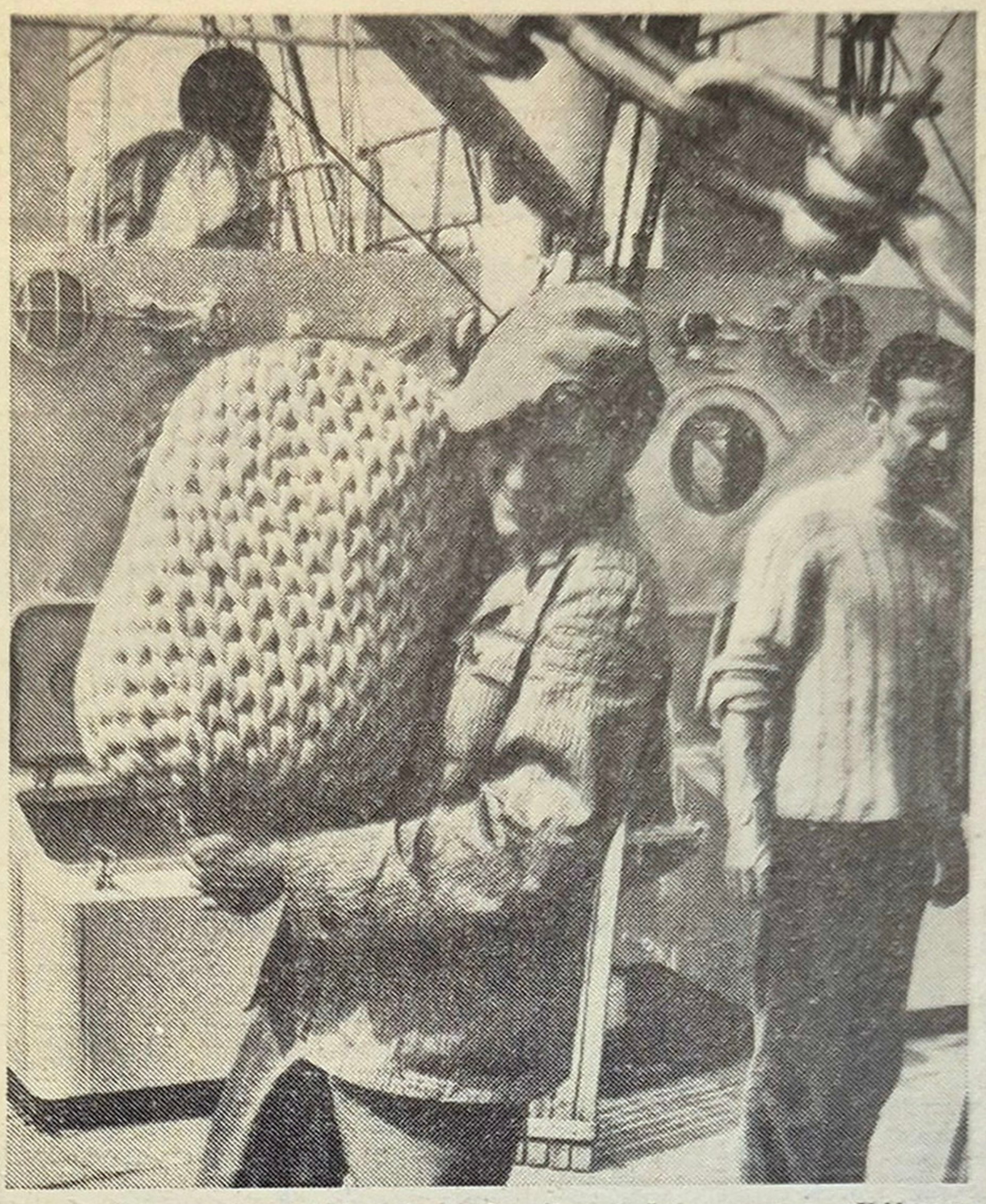

Trzecia wachta, między innymi, odpowiadała za stan odbijaczy, a podczas podchodzenia do kei za ochronę burt. Jacek Nazarko — instruktor z Białegostoku prezentuje właśnie taki prosto „spod igły" odbijacz.

C. d. ze str. 1

Zwany „Bosmankiem" — Zbyszek Zawieja, zastępujący bosmana, instruktor harcerski ze Zgierza, wręcza mi pasek ściernego papieru, mający szerokość kilku centymetrów,a długość kilkunastu.

Za to rdzy na deskach pokładu jest na metry. W ogóle widok naszego harcerskiego flagowca budził litość. „Zawisza" nie przeszedł remontu w stoczni. Cały „klar" będziemy robić sami. Oczywiście papier ścierny „ściera" się błyskawicznie, za to plamy zostają. Próbuję wyczyścić je cykliniarką. W jednym, najmniej widocznym miejscu, uparcie wydłubuję ostrym nożem dziurę. Na głębokości centymetra rdza nadal „siedzi".

— Po co się zastanawiasz! Tu nie chodzi o to, żeby wykonać, tylko żeby zatrudnić. — Jacek Nazarko przerywa zdrapywanie śladów farby z pokładu. — Dziś wycyklinujemy dechy, a jutro będzie się malować burty. Pojutrze zdrapywanie śladów farby... I tak na okrągło. Rozumiesz! Ty jesteś załoga. Od myślenia są inni...

Po obiedzie dzielą nas na cztery wachty. Wachta to coś jakby zastęp, tyle że przeznaczony wyłącznie do pracy. Oficerami wachtowymi są doświadczeni żeglarze posiadający stopień kapitanów.

Jacek Nazarko i „Bosmanek" ciągną mnie do wachty trzeciej. Naszym wodzem jest pan Andrzej Kaszyński, w „cywilu" pracownik naukowy w dziedzinie chemii. Ów dziwny osobnik z brodą jest wachtowym wachty czwartej. Przezywają go dźwięcznym imieniem Sergo, bowiem jest pół-Gruzinem.

Czarna robota jest teraz lepiej zorganizowana. Wachta otrzymuje zadanie np pomalowania burt, doprowadzenia do porządku messingów (czyli wszystkiego co na „Zawiszy" zrobione jest z mosiądzu, a obrosło zielonym nalotem), oporządzenia szalupy itp. Pewne prace jak obieranie ziemniaków każdego ranka czy szorowanie pokładu — wykonują wszystkie wachty jednocześnie.

W dniu dziesiątym sierpnia uroczyste pożegnanie. Jest oczywiście telewizja. Wychodzimy na redę, by po dwóch dniach wrócić znów na keję, bowiem nie mamy jeszcze paszportów i wiz.

Wreszcie dwunastego o godzinie 14.40 już na serio mijamy główkę basenu jachtowego. W chwilę potem długi przenikliwy dzwonek daje znać, że zaczyna się alarm do żagli. Nasza wachta obsługuje foka, bryfoka i sztafoka. Każdy z nas odpowiada za pewne czynności. Ja mam „pilnować" liny zwanej kontrafał foka oraz pomagać przy dwóch innych o skomplikowanych nazwach.

Wieczorem w czasie kolacji wzmaga się wiatr. „Zawisza" słania się z burty na burtę. Większość rezygnuje z bigosu i śpieszy na pokład, by przy relingu oddać pokłon i daninę Neptunowi. Jestem oczywiście w czołówce, zdobywając wiceprezesurę klubu „żyglarzy" i dzierżę ten tytuł do końca rejsu.

Przez cztery dni i noce, podzielone na pracę porządkowo-remontową oraz na służbę nawigacyjną śpimy najwyżej po pięć godzin. Nękają nas dodatkowe alarmy szalupowe, pożarowe i alarmy do żagli. Wreszcie 16.VIII wchodzimy do Helsinek, skąd za kilka dni nastąpi start do regat.

Pod żaglami

Poprzez flautę i sztorm

Niedziela 20 sierpnia. Samo południe. Na kei tłumy kibiców żeglarstwa. Nie brakuje i Polaków. Kiedy odchodzimy od nabrzeża studenci przebywający tu na praktyce śpiewają nam „sto lat". Jest też grupa marynarzy ze statku „Kopalnia Wirek". Wraz z nami podąża na start kilkanaście żaglowców. Jesteśmy odprowadzani przez tysiące motorówek i żaglówek.

O godzinie 13.00 znajdujemy się w pobliżu dwóch statków, między którymi przebiega właśnie linia startu. Przechodzimy ją o godzinie 13.30 i od tej pory... wyprzedza nas wszystko, co ma żagle. Wiatr słabnie z godziny na godzinę i ciężki „Zawisza Czarny" drepcze niemal w miejscu. „Drepcze" tak samotnie całą noc i cały dzień następny. Flauta. Kompletna flauta, czyli bezwietrzna pogoda. Śmieci wyrzucone za burtę krążą wokół nas. A może to tylko my kręcimy się wokół nich?

Przyznam, po dwóch dniach tego bezruchu, mam wyrzuty sumienia. Właśnie w czasie pierwszej nocy po wyjściu z Helsinek mieliśmy „psią" wachtę. Zapowiadany był sztorm. Stałam wówczas na rufie wpatrzona w czarną otchłań za nami. Niebo przecinały smugi spadających gwiazd. Towarzyszyło im moje głębokie westchnienie: — oby tylko nie było tego sztormu...

Po południu nadciąga wiatr. Alarm! Przebrasować żagle! Postawić latacza! Kontrafał bryfoka luzuj! Przerzucić bomy na lewą burtę! — Pierwszy oficer czyli „Czif" — Jan Sauer — rzu-

„Sail Operacione 72" czyli „Operacja Żagiel"

Tegoroczną Olimpiadę Wodną w Kilonii (NRF) uświetniły dwie piękne żeglarskie imprezy. Pierwszą — stanowiły regaty żaglowców, które odbywały się w dwóch klasach.

Z Cowes (Wielka Brytania) wystartowały w dniu 16 sierpnia żaglowce wielkie (klasa „A"), a między nimi „Dar Pomorza". Żaglowce mniejsze, do których należy harcerski flagowiec „Zawisza Czarny", wystartowały 20 sierpnia z Helsinek. Wszystkie żaglowce po zakończeniu regat spotkały się w Malmoe, w Szwecji.

Właśnie od Malmoe rozpoczęła się druga piękna impreza wodna zwana „Operacją Żagiel". Wszystkie uczestniczące uprzednio w regatach jednostki udały się z Malmoe do Travemünde w NRF, a stamtąd w szyku, pod żaglami do Kilonii. Paradę prowadził najstarszy ze startujących w regatach żaglowiec, a jednocześnie zwycięzca w klasie „A" — „Dar Pomorza".

ca gromkim głosem polecenia, które nasza żeglarska „zgraja" wykonuje (niestety) niezwykle wolno. Spora gromada jest po raz pierwszy na żaglowcu, a większość po raz pierwszy na „Zawiszy Czarnym". Mylą się fały, a czasami i nazwy poszczególnych żagli. Kapitan się złości. Ale złością i złym słowem żagli nie postawi. Trzeba było zamiast robienia „klaru", w rejsie do Helsinek potrenować stawianie i przebrasowywanie żagli. Taki na przykład amerykański żaglowiec „Te Vega" dopiero w Helsinkach jako tako doprowadzał do porządku swój wygląd. Myśmy lśnili czystością, ale za to do tej pory nie bardzo wiemy „co jest co".

Wiatr wieje coraz silniejszy. Prujemy „siódemką", co znaczy, że robimy siedem mil morskich na godzinę. Idziemy w dużym prawym przechyle, do tego chwiejba kołysze bezlitośnie. Naczynia myjemy podstawiając je pod burtę. Woda przewala się i spłukuje wszystko doszczętnie. Do tego leje deszcz. Wieczorną wachtę nawigacyjną trzymamy przyodziani w sztormiaki. Sztormiaki — jak sama nazwa wskazuje — mają zabezpieczać przed wodą. Ale nasze przypominają sita. Po kilkunastu minutach zimna struga leje mi się po plecach. Nie pomógł sztormiak i ortalionowa kurtka. Wycofać się nie mogę. Wszyscy jesteśmy jednakowo przemoczeni aż po ostatnie łachy i wszyscy jesteśmy jednakowo zmęczeni. Stoję na dziobie. Tu kołysanie jest najbardziej uciążliwe, ale mnie jest wszystko jedno, bo i tak choruję wszędzie jednakowo. Nie pomaga nawet aviomarin, polski lek przeciwko dolegliwości morskiej. Już drugi dzień nic nie biorę do ust.

15 h 32' 15"

Na rufie „Czif" wymalował kolorową kredą dwie morskie latarnie, a między nimi „Zawiszę" w miniaturze. Niżej — zamiast podpisu — cyfry oznaczające, że o godzinie piętnastej minut trzydzieści dwie i piętnaście sekund przeszliśmy linię mety. Ponieważ szliśmy skróconą trasą — regulamin regat przewidział taką możliwość — będziemy posuwać się pod żaglami w kierunku Trelleborga do godziny dwudziestej czwartej. Komisja sędziowska wg sobie znanych tabel przeliczy nasz czas na punkty. Wszyscy orientujemy się, że liczyć możemy na pewne miejsce szóste, bowiem akurat tyle żaglowców startowało w naszej klasie. Nie jesteśmy jednostką regatową i nikt na dobrą pozycję nie liczył. Nikt... no może jeden „Czif", zakochany w „Zawiszy". Zresztą wszyscy twierdzimy, że gdyby nie on, nasz „okręt" płynąłby do tyłu zamiast do przodu...

Wszystkie żaglowce startujące w wielkich regatach spotykają się w Malmoe. Stąd wszystkie jachty — te, które startowały w Cowes jak i te z Helsinek, udadzą się do NRF. Najpierw do Travemünde, a stamtąd w pięknym szyku do Kilonii, by dodać splendoru odbywającej się tam Olimpiadzie Wodnej.

W przeddzień odejścia z Malmoe następuje „trzęsienie ziemi", czyli wymiana załóg między jachtami. Od nas odchodzi piętnaście osób. Tyleż różnojęzycznego tłumku okrętujemy gościnnie na „Zawiszy".

Parada

To, co się teraz u nas dzieje, przeszło najśmielsze przewidywania. Nasza trzecia wachta ma nowego wachtowego. Jest nim Dżimmi, oficer ze szkolnego żaglowca angielskiej marynarki wojennej „Rojalist". Wachtą drugą dowodzi Osvaldo — przemiły Kolumbijczyk z „Glorii". Dowcip polega na tym, że nie zna on żadnego języka poza hiszpańskim.

Już o szóstej rano (godzina pobudki na „Zawiszy") gwizdek bosmana wyłuskał z koi wyłącznie „starych" Zawiszaków. Ziemniaczki obieraliśmy w zmniejszonym składzie. Nie wszyscy „goście" rozumieli również po co szorować pokład i to mydlikiem, kiedy jest idealnie czysty. O dziwo, wszystkie polecenia bosmana wydawane są tonem łagodnym, a kapitan normalnie rozmawia z członkami załogi!

Dżimmi dokonał radykalnych zmian w podziale obsługi żagli. Pojęcia nie mam w jaki sposób zrozumiemy wydawane przez niego komendy. Nowa atmosfera sprzyja najodważniejszym pomysłom. Kiedy obejmujemy służbę w kambuzie, Grażyna Murawska — dziennikarka z „Tygodnika Morskiego", tłumaczy Dżimmiemu, że i owszem, na „Zawiszy" wszyscy pracują jednakowo, ale... kobiety nie szorują garów... Skutek jest taki, że naczynia po obiedzie myją mężczyźni, a Dżimmi, poczciwy Dżimmi, własnoręcznie „odgryza" sadzę, którą poobrastały „okrętowe" kociołki. „Nowi" rwą się do żagli i do nawigacji. Trudno wyrywać komuś przemocą fały czy koło sterowe. Zresztą następnego dnia wciągnięci w rytm życia na „Zawiszy" goście obierają ziemniaki i wykonują inne okrętowe prace.

W Travemünde stoimy kilka dni. Zwiedzamy Lubekę, gdzie spotykamy się z młodzieżą żeglarską i z grupą skautów-wodniaków.

Trzeciego września w z góry ustalonym szyku wchodzimy do Kilonii. Na trasie witają nas tysiące żaglówek, motorówek, statków i promów, dziesiątki samolotów i śmigłowców. Sensacje wywołuje sterowiec krążący tuż nad masztami! Parade żaglowców z pokładu statku „Comet" przyjmuje sam prezydent NRF.

Z nie mniejszą paradą mamy żegnać Kilonię. Niestety — w ciągu następnych dni w Monachium padają strzały. Prvska radosny, beztroski nastrój. Giną ludzie. Na wszystkich jednostkach na znak żałoby bandery zostają opuszczone do połowy masztów. Kilonię opuszczamy szóstego września przed wieczorem.

Przy kejach inne żaglowce również szykują się do powrotu.

Tekst i zdjęcia:

WIESŁAWA MROCZEK

ZAWISZA

W każdym porcie pełniący służbę przy trapie mieli dodatkowe zajęcie — stemplowanie pamiątkowymi stemplami kopert i kartek papieru, podsuwanych przez tysiące zwiedzających. Stemple wykonał już na pokładzie „Zawiszy" Jacek Nazarko.

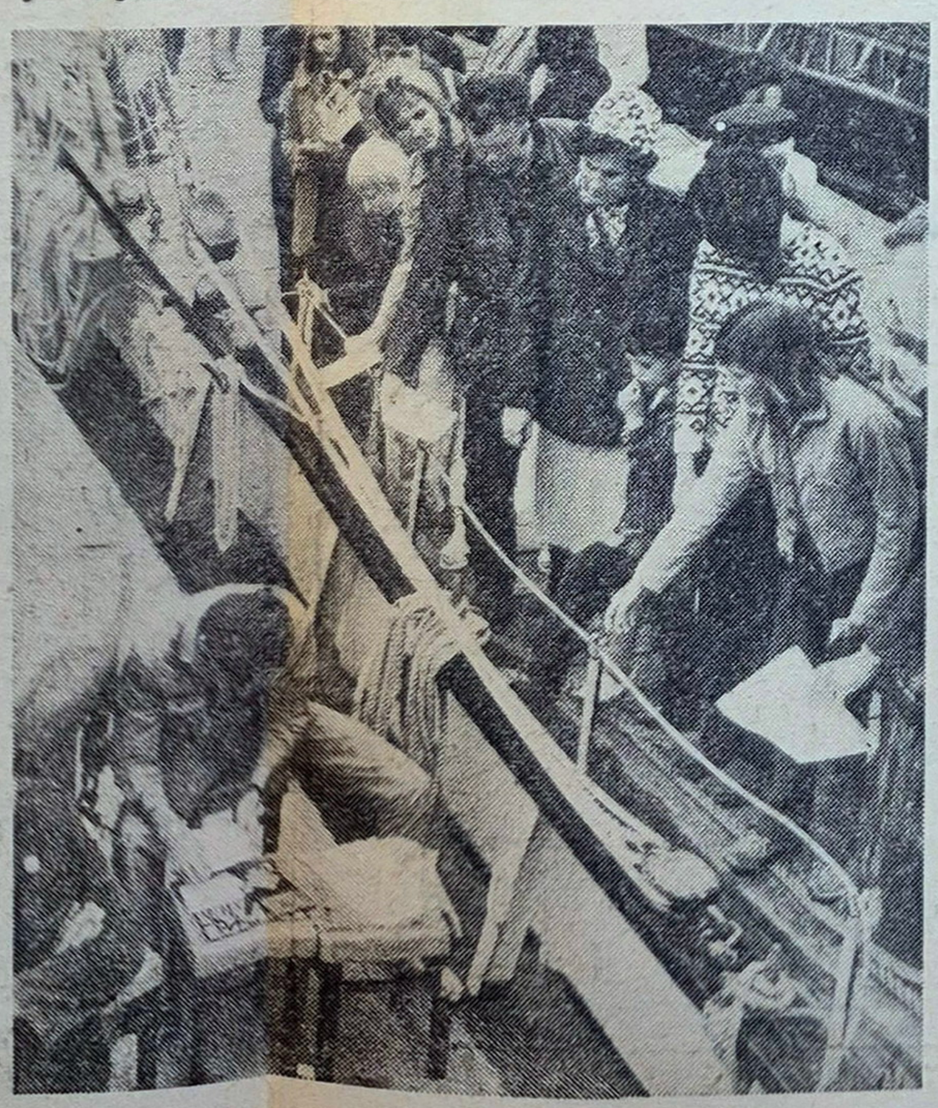

SZACHY OLBRZYMY

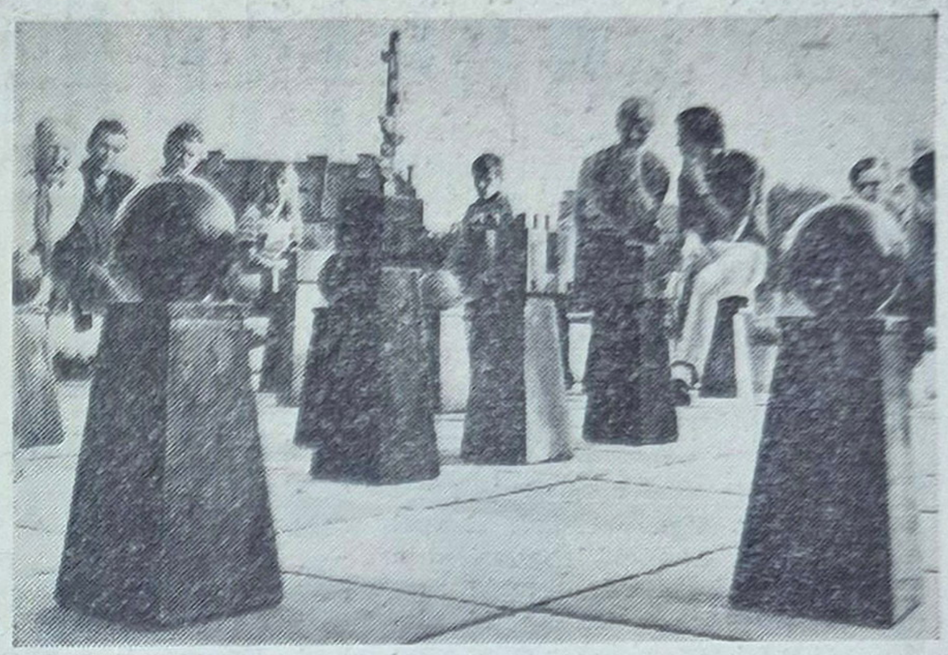

Mieszkańcy Ołomuńca, miasta czechosłowackiego na północnych Morawach mogą rozgrywać partie szachowe, które oprócz wysiłku umysłowego wymagają również... kondycji fizycznej. Szachownica urządzona w parku miejskim ma powierzchnię dorównującą boisku od siatkówki, a figury są wyższe od niektórych przedszkolaków.

To „boisko szachowe" cieszy się zawsze niebywałą frekwencją. Kibice mają nareszcie doskonałe pole obserwacji, każdy ruch jest widoczny nawet z zupełnie daleka. (ek)

TYM, KTÓRZY PISZĄ WIERSZE

KTO JEST POETĄ ?

WIELU Z WAS przysyła do naszej redakcji razem z miłymi listami swoje wiersze i prosi o ich ocenę. Piszący wiersze zadają czasami takie oto pytania: Co to jest poezja? Czy poetą może zostać każdy? Czy każdy, kto pisze wiersze jest poetą? Spróbujmy się nad nimi zastanowić.

Odpowiedzi na pytanie, co to jest poezja, szukało wielu ludzi. Napisali mnóstwo książek, w których próbowali zamknąć poezję w definicje. Gdyby ktoś zechciał przeczytać to wszystko, co o poezji napisano, a potem sam zaczął pisać wiersze pod dyktando definicji, na pewno nic by z tego nie wyszło. Na poezję nie ma bowiem przepisów takich, jak np. na zrobienie tortu. Są przepisy inne, po których poznaniu artysta buduje swój pałac-sztukę. Ale gdyby do budowy tego pałacu zabrał się pierwszy lepszy „inżynier", wowczas zdarzyłoby mu się to samo, co kiedyś zdarzyło się pewnemu amerykańskiemu milionerowi.

Zwiedzał on we Włoszech pałac. Pałac posiadał salę, na progu której — gdy ktoś stanął i szeptem wypowiedział jakieś słowo — sala powtarzała je kilkakrotnie. Milioner tak zachwycił się echem, że kazał wymierzyć salę dokładnie i zbudować ją sobie w domu, bo myślał, że skoro będzie miała identyczne wymiary i ten sam kształt, co sala w pałacu, to będzie w niej i echo. Okazało się jednak, że chociaż była podobna do tamtej jak dwie krople wody, echa w niej nie było wcale.

Podobnie rzecz ma się z większością tych, którzy chcą pisać wiersze; wydaje im się, że wiedzą, jak się je pisze, lecz gdy je napiszą — są w nich słowa, rytm i rym, ale nie ma poezji — tego zaczarowanego echa.

Wielu rzeczy można się nauczyć: lekcji, wiersza na pamięć, budowania mostów, pilotowania statku kosmicznego. Ale bycia poetą nauczyć się nie można. POETA NIE TYLKO WIDZI, ALE I POTRAFI NAZWAĆ TO, CO WIDZI TAK, JAK INNI CHCIELIBY TO NAZWAĆ, ALE NIE POTRAFIĄ.

Zapewne nieraz czytając jakiś wiersz czuliście, że myśli, uczucia, wyobraźnia zawarte w nim są podobne do waszych. Ale gdy komuś przyjdzie ochota wyrazić to własnymi słowami, wtedy zaczyna się problem. Wielu ludziom wydaje się, że ich bogate uczucia, ciekawe myśli, warto zapisać, lecz po zapisaniu ich zauważają, że to, co było piękne przed napisaniem, przeobrażone w słowa, stało się blade, nieprzekonywujące.

Poetą więc jest ten, kto światem swego ducha po wyrażeniu go w słowach potrafi zafascynować innych. Ludzie po przeczytaniu jego wierszy czują, że stali się nie tylko bogatsi uczuciowo, ale i mądrzejsi. Ich wyobraźnia również się uskrzydla. Zaczynają widzieć to, czego dotąd nie spostrzegli.

Lecz niech nikt nie myśli, że poecie wiersze same „wyskakują" spod pióra, że codziennie pisze ich tyle, ile ma na to ochoty. Czasem poeta pisze wiersze „od ręki" i jest to wiersz dobry, czasem musi długo mozolić się, zanim coś napisze, a bywa i tak, że napisane wiersze — złe — wyrzuca do kosza.

Dobry wiersz to nie tylko rytm i rym. Można umieć dobrze rymować, a pisać wiersze złe, nudne, tzw. rymowanki. Poetą jest ten, kto posiada wyobraźnię, poczucie piękna oraz umiejętność trafnego używania słów w wierszu tzw. warsztat poetycki.

ALEKSANDER NAWROCKI

TELEFON ZAUFANIA

9 STANISŁAWA PLATOWNA Rys. J. Rocki

W każdym razie ja czułem żal do ojca, pierwszy raz wydało mi się, że dostrzegam jakąś rysę, jakiś błąd w jego postępowaniu. Może właśnie od tej dyskusji począł się mój sceptycyzm, niewiara w doskonałość istot, które przywykłem uważać za niewzruszone ideały?

Czemu stoję i gapię się na stary kilim? Mam mało czasu, przedstawienie trwa około dwóch godzin, rodzice o jedenastej mogą już być w domu.

Przede mną tylko dwie i pół godziny. Chociaż... dwie i pół godziny, sto pięćdziesiąt minut, a czasem kilka minut może znaczyć bardzo wiele. Pani M. zdążyła mi powiedzieć to co najważniejsze w ciągu kilku sekund.

Pani M. Sam już nie umiem ocenić, czy naprawdę jest zła, czy tylko głupia? Sam, na własną rękę, zdobyłem informację o pani M. Wiedziałem już, jaką drogą uzyskała wiadomości o moim pochodzeniu.

Przed paru laty pracowała w szpitalu, stykała się z pacjentkami, z pielęgniarkami, z lekarzami Może podsłuchała czyjąś rozmowę, może w inny sposób dowiedziała się, że Monika jest pierwszym dzieckiem, lekarzom przecież mama musiała powiedzieć prawdę.

Rozsypane części łamigłówki zaczynały układać się w logiczny ciąg, jeden fragment pasował do drugiego...

Nieraz zastanawiałem się, czemu rodzice wyjechali z Lublina, czemu ojciec porzucił pracę, dobre stanowisko, wygodne mieszkanie? Mieli tam świetne warunki, dom babci był obszerny, ładny, otoczony dużym ogrodem, jeździmy tam często podczas wakacji i zawsze żałuję, że nie mieszkam na stałe.

Teraz już wiem, czemu nie zostali w Lublinie. Jeśli prawdą jest, że wzięli mnie na wychowanie, nie chcieli, żeby ktoś o tym wiedział.

Dobrze to wszystko obmyślili, przez szesnaście lat udało im się zachować tajemnicę. I pewno nigdy nie poznałbym prawdy, gdyby nie przypadek.

Podszedłem w końcu do biurka, choć właściwie nie bardzo wiedziałem, czego będę szukał. Ale skoro zdecydowałem się, skoro ułożyłem cały plan, należało go wykonać. Już od paru dni obmyślałem wszystko.

I jeśli teraz, stojąc naprzeciwko rozbitego biurka, wahałem się, to chyba dlatego, że... że bałem się. Tak, nie ma co ukrywać!

Chciałem poznać prawdę, a równocześnie bałem się jej. Bo jeśli pani M. rzeczywiście powiedziała prawdę to... Co mam wtedy zrobić? Udawać, że o niczym nie wiem, czy powiedzieć rodzicom co sądzę o ich postępku?

Schyliłem się i podniosłem kilka kopert, które wypadły, gdy wyłamałem szufladę. W pierwszej z brzegu znalazłem dokumenty i kwity z Motozbytu, dowód wpłaty na kwotę sześćdziesięciupięciu tysięcy złotych za samochód marki Trabant.

Zaskoczenie było całkowite niespodzianka absolutna. Któregoś popołudnia tuż przed końcem roku ojciec wpadł do domu rozpromieniony, jakby wygrał na loterii i już od progu wołał:

— Zapraszam wszystkich na spacer! Szybko! Kto nie zdąży, ten zostanie!

Wybiegłem pierwszy przed dom. Przy krawężniku stał nowiutki, nieskazitelnie biały Trabant. Nie przyszło mi nawet do głowy, że to nasz, byłem pewien, że pójdziemy na spacer jak zwykle, piechotą.

Zbaraniałem, gdy tata wyjął kluczyki i otworzył dzwiczki. Wsiedliśmy wszyscy czworo i objechaliśmy cały Wrocław, podnieceni, szczęśliwi, nieprzytomni z zachwytu! Mieliśmy własny samochód! Prawdziwy samochód!

Potem pojechaliśmy Trabantem na wakacje, wstąpiliśmy do Lublina, do babci, odwiedziliśmy wujów, ciotki, wszyscy podziwiali nasz samochód, gratulowali nam, cieszyli się. Tylko wujek Bronek, mąż cioci Reni, powiedział lekceważąco:

— Chyba nie masz zamiaru poprzestać na tej „mydelniczce". Powinieneś starać się o przydział na Fiata.

Boże, jak ja go nienawidziłem za te słowa! Jakim prawem mówią tak lekceważąco o naszym samochodzie? Nigdy nie sądziłem, że za kilkanaście miesięcy powtórzę te słowa...

Na razie jednak szalałem z radości, błagałem ojca jak o największą łaskę, by mi pozwolił umyć samochód, zmienić koło, napompować dętkę.

Sam nie wiem, kiedy zaczął mnie drażnić nasz samochód. A właściwie wiem, kiedy to się zaczęło, choć rozmowa, podczas której po raz pierwszy użyłem słowa „mydelniczka", nie miała nic wspólnego z motoryzacją. Ojciec chciał, żebym się zapisał do młodzieżowej sekcji dżudo przy zespole Gwardii. Pasjonował go ten sport, a ja miałem ochotę nauczyć się sposobów i chwytów, dzięki którym siła mięśni przestaje być najważniejsza. Chyba obydwaj myśleliśmy o tym samym, choć każdy w inny sposób Nie jestem ani specjalnie silny, ani zręczny, owszem uprawiam sporty, ale żaden mnie naprawdę nie wciągnął. Może najbardziej lubię pływanie, pewno dlatego, że osiągam na basenie niezłe wyniki. Ale otwartej wody, morza, rzeki, jeziora nie lubię. Na nartach jeżdżę kiepsko, na łyżwach jeszcze gorzej, nie lubię siatkówki, a tym bardziej piłki nożnej. W ogóle słaby ze mnie sportowiec, choć pasjonuję się lekkoatletyką, żużlem, Wyścigiem Pokoju. Kiedy ojciec zaproponował mi, żebym wstąpił do sekcji dżudo, zapaliłem się do tego projektu. Widziałem nieraz w telewizji pokazy, fragmenty zawodów. To było wspaniałe! Drobny, szczupły chłopak walczył z o ile silniejszym przeciwnikiem i bardzo często zdarzało się, że właśnie on wygrywał. Bo nie siła była ważna lecz zręczność.

Myślę, że ojcu o to właśnie chodziło, chciał, żebym nauczył się walczyć i zwyciężać. Bo jak dotąd... no cóż, czy to moja wina, że nie znoszę bójek? Że każdy lał mnie jak chciał? Ojciec niby nie zwracał na to uwagi, milczał, gdy mama przykładała mi kompres na spuchnięte oko, ale ja wyczuwałem w jego milczeniu naganę. Zresztą czasami słyszałem, jak mówił do mamy: „Co z niego wyrośnie? Istna baba! Ja w jego wieku!"

Leciałem na ulicę Nowotki jak na skrzydłach. Już widziałem siebie na macie, w białym stroju zawodnika, zdobywałem poszczególne stopnie wtajemniczenia, wyobrażałem sobie, jak bez lęku wchodzę między grupę chuliganów i unieszkodliwiam ich przy pomocy prostych chwytów. A co najważniejsze — nie boję się.

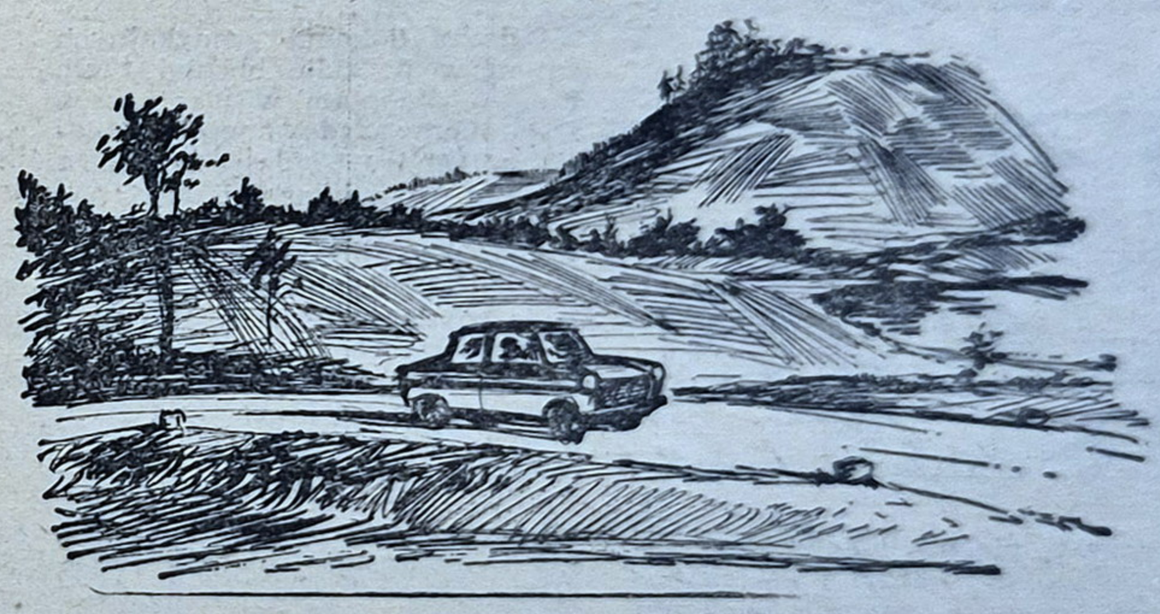

Wracałem noga za nogą, chciało mi się płakać, od dawna już nie czułem się tak podle. No tak, nie przyjęli mnie! Z powodu okularów! Lekarz, który badał kandydatów, z miejsca odebrał mi szansę Mam krótki wzrok, muszę nosić szkła, a przepisy mówią...

Do diabła z przepisami! Do diabła z okularami! Do diabła...! Ojciec też był rozczarowany, ale starał się mnie pocieszyć. Powiedział: „możesz przecież uprawiać inne sporty. Zapisz się do sekcji tenisa stołowego, też wyrabia refleks, zręczność..."

Tenis stołowy! Dziękuję pięknie!

C.d.n.

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa" Warszawa, ul. Bagatela 14. Dyrektor Wydawnictwa tel. 28-09-23. Dział Wydawniczy, tel. — 29-35-52. Biuro Ogłoszeń — Warszawa, ul. Bagatela 14, tel. — 21-21-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" W-wa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.30, kwartalna zł 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr 1-1-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", W-wa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" Warszawa ul. Wronia 23, konto PKO 1-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych na uprzednie pisemne zamówienia prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa ul. Towarowa 28. Adres redakcji: WARSZAWA 111, MOKOTOWSKA 43. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
Zam. 3805 A-69

POWIETRZNY OLBRZYM

W Biurze Doświadczalno-Konstrukcyjnym, którym kieruje generalny konstruktor lotniczy S. Iljuszyn, twórca całej serii słynnych „Iłów", wielomiesięcznych turbo-odrzutowych samolotów pasażerskich, opracowuje się nowy liniowiec „Il-86".

Ciągle rosnące rzesze pasażerów, którzy chcieliby w najkrótszym czasie odbywać podróże na setki i tysiące kilometrów, postawiły konstruktorom samolotów zadanie: zbudować autobus powietrzny. Powinien on przewyższać samoloty poprzednich marek ładownością, odznaczać się wyższym komfortem, rozwijać większą szybkość, oszczędzać czas pasażerów, być ekonomicznym w eksploatacji.

Tym właśnie wymaganiom będzie odpowiadał nowy samolot odrzutowy „Il-86". W czterech salonach ogromnego liniowca zdoła się pomieścić około 300 pasażerów. Cztery potężne silniki pozwolą samolotowi na wysokości 14 tysięcy metrów, rozwijać szybkość 950 km/godz. Długość lotu bez lądowania wyniesie 5 500 kilometrów.

Można się spodziewać, że eksploatacją nowego aparatu S. Iljuszyna zainteresuje się wiele krajów świata. Na zdjęciu model samolotu „Il-86". / (jk)

PARTYZANT Z „CZERWONEGO RYPINA"

C. d. ze str. 1

tu na obozy. Najbardziej lubiliśmy rozbijać namioty nad jeziorem koło Szczutowa. Czysta woda, mnóstwo jagód i grzybów, piękna okolica była magnesem nie tylko dla nas. W sierpniu 1939 roku swoje trzynaste urodziny obchodziłem także w lesie, na obozie. Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że światu grozi wojna...

Już od pierwszych dni okupacji poznaliśmy prawdziwe oblicze hitleryzmu. Liczne aresztowania w Rypinie i okolicy zastraszyły mieszkańców. Kaźnia, mieszcząca się przy ulicy Warszawskiej chłonęła ofiary. Niemalże każdego dnia oglądać można było plakaty oznajmiające o nowych wyrokach niemieckich „sądów". Patrzyliśmy z nienawiścią na pewnych siebie hitlerowców. Byliśmy jednak bezradni. Dawno prysnął mit o potędze naszych sojuszników — Anglii i Francji. Armia Radziecka z wielkim trudem powstrzymywała niemiecką nawałnicę. Przez naszą stację przewalały się liczne transporty z amunicją, bronią, sprzętem, przeznaczone dla wschodniego frontu. Ale i coraz częściej jechały też pociągi w odwrotnym kierunku. Te przepełnione były rannymi.

Ten dzień zapamiętam do końca życia. Siedziałem na progu mojego domu. W pewnym momencie podszedł do mnie jakiś cywil.

— Druh Grabowski? — zagadnął.

— Co... — odburknąłem z niechęcią — pan do mnie?

— Niezupełnie. Ojciec jest w domu?

Przybysz wzbudzał podejrzenie. Zresztą w tych czasach każda obca twarz kazała zachowywać ostrożność.

Ku mojemu zdziwieniu ojciec przywitał się z gościem bardzo wylewnie. Widać było, że znają się nie od dziś.

— Cześć, Alek, co cię do mnie sprowadza? — zagadnął poklepując obcego po ramieniu.

— Siadaj, nowinek jest dużo. Czy można tu mówić swobodnie?

Ojciec zamknął okno, kazał mi się wynosić z domu, ale ruch ręki gościa powstrzymał mnie na progu.

— Zostań, sprawa dotyczy i ciebie — uśmiechnął się w moim kierunku.

— Mam mało czasu. Od razu przystąpię do sedna sprawy. Na ostatnim posiedzeniu Komitetu PPR postanowiliśmy pewną akcję. Dość biernego oczekiwania na rozwój wypadków. Chcemy sparaliżować pobliski węzeł kolejowy. I do tego będzie potrzebny twój syn.

— Bolek?

— Tak, Bolek. Jako harcerz zna najlepiej rypińskie lasy. Musi przeprowadzić zwiad i ustalić, w którym miejscu najdogodniej będzie wykoleić pociąg. Mały chłopak nie wzbudzi podejrzeń strażników. Sądzę, że można mu zaufać.

Ojciec milcząco przysłuchiwał się jak „Alek" instruował mnie, a kiedy zakończył mocno uścisnął mi dłoń:

— No, druhu wywiadowco, chyba nie będę się za ciebie wstydził.

Rys. J. Rocki

KOLEJÓWKA

W trzy tygodnie później prowadziłem oddział na miejsce akcji. Mrok i otaczający las kryły doskonale sześciu ludzi podążających w kierunku kolejowego toru. Miejsce, które wybrałem na akcję doskonale nadawało się do jej realizacji. Gęste zarośla dochodzące do wysokiego nasypu stanowiły wystarczającą zasłonę przed oczami kolejowych strażników. Posuwaliśmy się w absolutnej ciszy. „Młot" i „Andrzej" stanowili ubezpieczenie. „Odważny" i „Saper" mieli rozkręcić szyny. Całością kierował „Alek" — ten sam, który niedawno złożył wizytę w moim domu.

— Za 2 godziny powinien nadejść transport. Pospieszcie się chłopcy. Tylko bez hałasu.

Po kwadransie robota była skończona. Lekko rozchylone szyny pozornie nie wyglądały groźnie, ale „Saper" gwarantował, że nie przejedzie po nich nawet ręczna drezyna. Prawie biegiem wycofaliśmy się do miasta. Nie upłynęła godzina, a leżałem już w łóżku i oczekiwałem na eksplozję. Pociąg, który stał na stacji wnet ruszył z miejsca. Powoli nabierał rozpędu. Liczyłem długie sekundy i minuty

— Czyżby „Saper" się pomylił?

Ojciec także nie spał. Ogienek, który żarzył się na końcu papierosa rozjaśniał momentami jego niespokojną twarz.

Na raz niesamowity błysk napełnił pokój. Potężny pęd powietrza wraz z szybami wtargnął do sypialni. Huk następował jeden po drugim. Zrobiło się jasno jak w dzień. Miasto się zbudziło.

— W porządku — mruknął ojciec. — Dobra robota. Możesz spokojnie spać...

*

Nie zasnąłem jednak tamtej nocy — kończył swą opowieść Grabowski dorzucając gałęzi do ognia. — Rano z chłopakami pobiegliśmy do lasu.

— Podobno partyzanci wysadzili pociąg — z przejęciem wykrzykiwali koledzy. — Pociąg był pełen amunicji...

Milczałem. Nikt nie mógł się dowiedzieć absolutnie niczego. Pomimo wnikliwego śledztwa, prowadzonego później przez hitlerowców, zagadka nie została wyjaśniona do końca wojny. Zresztą nie był to jedyny transport wysadzony przez oddziały Gwardzistów na naszym terenie. Nic więc dziwnego, że okupanci nazwali moje miasto „Czerwonym Rypinem". Sądzę, że była to właściwa nazwa...

Z. PRZYBYŁOWSKI

OSTATNI LOT porucznika ŻWIRKI

Wyszedłem z żoną, aby zgrabić siano z powrotem i nagle słyszę warkot samolotu. Leciał nisko i nierówno. Jak piórka ze zranionego śmiertelnie ptaka sypały się z niego kawałki dykty. Huragan bawił się nim jak zabawką — samolot wpadł w korkociąg. Patrzyliśmy jak zahipnotyzowani. Tuż przed lasem z suchym trzaskiem odpadło z samolotu jedno skrzydło. I to był koniec: samolot runął na odchylone wichrem drzewa, łamiąc je jak zapałki. Poleciałem natychmiast do lasu, ze mną sąsiedzi z okolicznych domów. Oczom

naszym przedstawił się okropny widok: ogon płatowca owinął się jakby wokół jednego drzewa, opodal leżał strzaskany silnik, zaś kilka metrów dalej znaleźliśmy zmasakrowane ciała lotników...

Na zwykłym chłopskim wozie przewieźliśmy je natychmiast do Kościelca.

Wg „Gazetki Pioniera" oprac. jk.

SOBOTA, 10 WRZEŚNIA 1932 ROKU. Na cierlickiej łące pod Kościelcem, pasą się krowy. Pilnujący ich chłopcy bezmyślnie wpatrują się w chmury, gryząc źdźbła trawy. Nagle dolatuje ich uszu warkot samolotu. Bystrymi oczyma wyławiają dwa srebrzyste ptaki z polskimi znakami.

— To leci Żwirko! — krzyczą, wpatrując się w samoloty. Sława polskich bohaterów przestworzy dotarła także i do nich.

*Ale nie był to Żwirko *), tylko piloci Giedgowd i Karpiński, udający się przez Berno do Pragi na święto lotnictwa czechosłowackiego. Żwirko miał polecieć z nimi, ale nie czuł się jeszcze dość wypoczęty i postanowił dogonić kolegów nazajutrz w Bernie.*

Wyruszyli wraz z inż. Wigurą w niedzielę rano z Warszawy. Na krótko zatrzymali się w Krakowie, aby uzupełnić paliwo, po czym wystartowali w stronę Berna. Tymczasem nad Śląskiem Cieszyńskim wpadli w potężny huragan i spadli na ziemię w Cierlicku Dolnym, łamiąc dwa świerki i ponosząc śmierć na miejscu.

Naoczny świadek katastrofy, nie żyjący już dziś Franciszek Stebel, tak wspominał tamten tragiczny dzień:

— Był chmurny, niedzielny poranek. Wiejący od nocy wiatr zamienił się w szalejący wicher, który zginał w pół drzewa i rozsypywał siano z kopek.

**) Franciszek Żwirko (1895—1932) słynny polski lotnik, który wraz ze Stanisławem Wigurą rozsławił polskie skrzydła podczas Międzynarodowych Zawodów Samolotów Turystycznych (Challange) w 1932 r., zdobywając na samolocie RWD polskiej produkcji pierwsze miejsce.*

KOULA mówi po grecku

Przy jednej ze schludnych ulic Limassolu, na dalekim Cyprze, wyspie leżącej na Morzu Śródziemnym, mieszka w niedużym parterowym domku Koula. W korespondencji z tej gorącej wyspy przedstawialiśmy tę sympatyczną 12-letnią dziewczynkę naszym czytelnikom. Pisaliśmy wówczas, że Koula jest ciekawa naszego kraju, że pasjonuje się zbieraniem znaczków pocztowych, że dotychczas nie posiada w swoim klaserze ani jednego znaczka polskiego.

Po tym artykule zamieszczonym w nr 75 „Świata Młodych", Adam Spyra z Miasteczka Śl., Włodek Piekarczyk z Pęklewa i wielu innych czytelników, pragnąc nawiązać kontakt z Koulą, zapytuje w jakim języku pisać do tej cypryjskiej dziewczynki. Proszą też, żeby jeszcze coś o niej opowiedzieć.

Koula jest Greczynką i mówi po grecku. W tym też języku uczy się w szkole (jest uczennicą VI klasy). Świetnie zna i jest bardzo przywiązana do greckiej tradycji i starożytnej przeszłości swej wyspy. Potrafi z pamięci wymienić najwspanialsze zabytki starodawnej kultury greckiej. — Cypr, to jakby otwarta księga historii — mówi Koula o swej wyspie, mając na myśli odkryte przez archeologów i zabezpieczone wspaniałe świątynie i amfiteatry, mozaiki i posągi sprzed dwudziestu wieków.

Kiedy na Cyprze rządzili Anglicy, językiem urzędowym był język angielski. Od dwunastu lat, akurat tyle, ile Koula ma obecnie, Cypr jest państwem niepodległym. Na wyspie żyje ponad pół miliona Greków i około 120 tysięcy Turków. Językiem dominującym jest więc oczywiście język grecki. Starsze pokolenie Cypryjczyków, które chodziło do szkoły w okresie angielskiego panowania kolonialnego, zna dobrze język angielski. Dzieci natomiast, Wasi rówieśnicy, mówią tylko po grecku (angielskiego uczą się dopiero w liceum).

— A zatem jak pisać do Kouli?

Zwykłe, serdeczne pozdrowienia na widokówce ukazującej piękno polskiego krajobrazu czy fragment miasta, z pięknym znaczkiem pocztowym, możecie napisać w języku polskim. Natomiast obszerniejszą korespondencję, w liście, należy pisać po angielsku (wyraźnie). Taki list przetłumaczy Kouli mama lub jeden ze starszych braci.

Opłata za zwykły list lotniczy wagi 5 gr wynosi 2,50 zł + 50 gr. Karta lotnicza kosztuje 1 zł 70 gr + 50 gr.

Tym z Was, którzy pytają czy dozwolone jest wysyłanie za granicę znaczków pocztowych, wyjaśniamy: zgodnie z obowiązującymi w Polsce przepisami wymiana znaczków z zagranicą może być dokonywana tylko za pośrednictwem Polskiego Związku Filatelistów przez osoby zrzeszone w tym Związku. Natomiast osoby nie będące członkami PZF mogą wysyłać za granicę jedynie polskie znaczki pocztowe stemplowane, wydane po roku 1950 — jednorazowo w ilości nie przekraczającej 30 sztuk. W takim przypadku nie obowiązuje cło. I według takiej właśnie zasady możecie wysyłać znaczki polskie do Kouli Kyriacou na słoneczną wyspę Cypru.

(jk)

Na trasach wycieczek po ojczystej wyspie Kouli spotykałem wsie, niczym niepodobne do naszych. Oto jedna z nich, pięknie usytuowana na tle górskiego krajobrazu.

Foto: J. Kasprzak

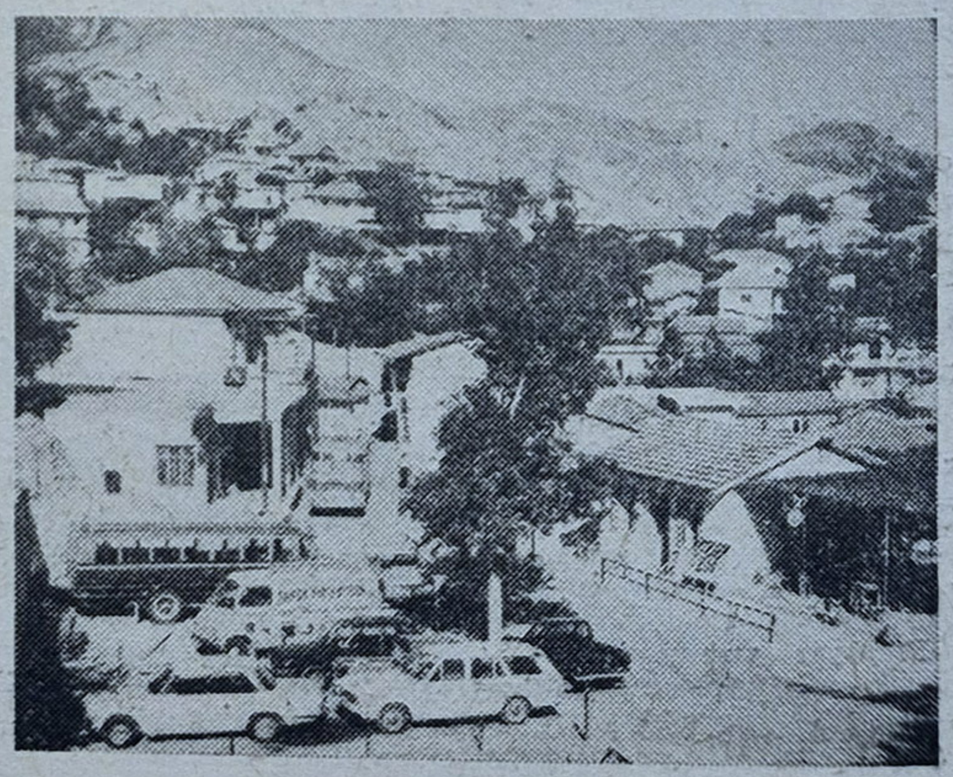

GAZETKA PIONIERA
TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

„Gazetce Pioniera" sto lat!

PRZYTOCZYLIŚMY Wam fragment tekstu z „Gazetki Pioniera" — tygodnika wychodzącego od 20 lat dla polskich dzieci żyjących na terenie czechosłowackiej części Śląska Cieszyńskiego. Ten rejon Czechosłowacji zamieszkuje spora ilość ludności polskiego pochodzenia, stanowiąc jedną z mniejszości narodowych kraju naszych południowych sąsiadów. Dzieci chodzą do polskich szkół, należą do organizacji pionierskiej, odbywają ciekawe zbiórki i gry terenowe. Od dwudziestu lat pomaga im spędzać wolny czas wydawana w języku polskim „Gazetka Pioniera". Otrzymujemy ją w redakcji — przeglądamy co tydzień osiem stroniczek sympatycznego pisemka, dowiadujemy się co robią, czym się zajmują Wasi polscy rówieśnicy zza południowej miedzy.

W ostatnich numerach znaleźliśmy przygodowe reportaże z obozów polskich drużyn pionierskich, regulaminy sprawności, artykuły o Koperniku, ciekawostki o naszym kraju, opowieść o polskich pilotach — bohaterach Challange z 1932 r. A także Szarika, Gustlika i Janka — naszych słynnych pancernych, którzy spotkali się oko w oko z polskimi dziećmi w Łyżbicach i Czeskim Cieszynie, czego również nie omieszkała odnotować na swych łamach „Gazetka Pioniera".

Darzymy ją ogromną sympatią, taką, jaką darzy się młodszą siostrę. W tym tygodniu „Gazetka Pioniera" obchodzi swoje 20 urodziny. Cieszymy się wraz z jej czytelnikami z tego jubileuszu.

Jubilatce, której nie wiadomo kiedy „strzeliło" już tyle lat, a która — wierzymy w to — nigdy się nie zestarzeje, życzymy, aby wszystko się Jej udawało, aby miała jak najwięcej przyjaciół, aby za swojego przyjaciela uważała również nas...

„ŚWIAT MŁODYCH"